



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Mirosława Jasińska-Śliwińska

Miałam zaledwie cztery i pół roku...

Choć wtedy miałam zaledwie cztery i pół roku, to doskonale pamiętam wielkie czarne ptaki na niebie. Przerażliwy warkot, ogłuszające huki i spadające pociski z samolotów. Wyglądało tak jakby siewca rzucał ziarno, które to miałyby wydać plon. Plon – to wielkie spustoszenie i tragedia ludzka. Wielki strach zburzył nastroje nawet tych z najbardziej optymistycznym nastawieniem do życia.

1 września 1939 roku – to dzień pamiętny dla milionów Polaków – data wybuchu Drugiej Wojny Światowej.

Jako dziecko nie wiedziałam, co się dzieje. Wyglądało jakby ludzie postradali zmysły. Wynosili wszystko, co znajdowało się w domach i przykrywali gałęziami drzew upodabniając do otoczenia. Mamusia najcenniejsze rzeczy przykryła szaro-zielonymi kapami w zaułku ogródka pomiędzy krzewami agrestu. Gospodarze wypędzali inwentarz z zagród gospodarskich, chroniąc zwierzęta przed ewentualnym pożarem, który w każdej chwili mógł strawić ich mienie. „Czarne ptaki” odlatywały i znowu wracały. Na naszym terenie ostrzeliwane i bombardowane były główne drogi łączące większe miasta. Miejscowość, w której mieszkałam to Mączewo w powiecie mławskim, które oddalone było trzy kilometry od szosy łączącej Mławę z Płockiem. Na szczęście z mojej miejscowości nikt nie zginął. Najbardziej ucierpiały wsie i tereny leżące przy samej szosie. Tą drogą przemierzało się wojsko polskie, jak również spanikowani ludzie, którzy uciekali przed siebie. Jechały furmanki, powózki, rowery, szli piesi, nie wiedzieli dokąd. Po prostu szli przed siebie, szli donikąd. Spadały na ziemię pociski, burząc to, co napotkały na ziemi. Płonęły domy, ginęli ludzie, dymy i zapach spalenizny pogarszały optymizm tych, którym jeszcze trochę zostało. Bezradność odbierała ludziom ostatnią nadzieję na przetrwanie. Po kilkunastu godzinach nastąpiła cisza. Zniknęły samoloty z horyzontu. Został jednak strach i ludzka tragedia. Wprawdzie w mojej miejscowości nie było strat w ludziach – to w innych miejscowościach już tak, np. w Kowalewku w sąsiedniej miejscowości spłonęły dwa domy i zginęło troje ludzi. Po pewnym czasie znalazły się służby porządkowe, które zaczęły usuwać z drogi rozbite pojazdy, zabite zwierzęta i co najważniejsze zabitych ludzi, którzy chowani byli na pobliskich cmentarzach w zbiorowych mogiłach.

Następnego dnia moi rodzice zdecydowali się na ucieczkę, do wyjazdu za Wisłę. Tam jak mówili miało być bezpiecznie. Zapakowali trzy wozy. Jeden moich rodziców, drugi ciotki – siostry mojej mamy i trzeci wuja – brata mamy. Na wozach była pościel, ubrania i żywność, której miało wystarczyć na kilka dni do chwili przekroczenia Wisły i dotarcia do Radziwia (dzielnica Płocka), gdzie miało być bezpiecznie. Do Płocka było trzeba przemierzyć około 80 km. Na wozach posadzone były dzieci, dorośli szli pieszo pędząc stado krów, które było włączone w tabor uciekających. Świnie i drób pozostawione były w zagrodach, zaopatrzone w pokarm i wodę. Mój brat i ja dostaliśmy pod opiekę zegar, który odmierzał czas jazdy.

Jechaliśmy szosą w stronę Płocka. Na drodze był ogromny tłok. Ludzie jechali na oślep przed siebie. I tak wóz za wozem mineliśmy Raciąż, Drobin i dojechaliśmy do miejscowości Kozłówko w powiecie płockim. W tejże miejscowości mieszkała rodzina mojej mamy: państwo Rudowscy i Badurscy. Wstąpiliśmy żeby odpocząć. Przyjęto nas bardzo serdecznie. Tam właśnie zapadła decyzja: nie jedziemy dalej. Tam też jest niebezpiecznie. Wracamy. Mój ojciec miał odmienne zdanie. Powiedział: „Wy wracajcie. Ja chcę wcielić się do wojska i pójść na front. Chcę stanąć w szeregach i walczyć o wolną Polskę”. Ojciec miał wtedy 30 lat. Żadne perswazyje dorosłych nie zdołały go przekonać do zmiany decyzji. Dopiero mój płacz i prośby wzruszyły ojca i postanowił wrócić z rodziną do domu. Po powrocie zastaliśmy pełny dom ludzi. Zatrzymali się, żeby odpocząć. Na pewno wcześniej byli inni, a może wcześniej jeszcze inni. Jedni uczciwi, inni nie. Spenetrowany był każdy kąt. Zabrano, co było wartościowsze. Przybysze odjechali, a my zostaliśmy w domu. Pomału wszystko, co zostało wróciło na swoje miejsce.

Wiadomo było, że zaczęła się okupacja. Każdy Polak musiał dostosować się do rzeczywistości, jaka obowiązywała w okupowanej Polsce. Mieszkańców wsi obowiązywały kontyngenty. Każda gmina miała komisarza, a wieś sołtysa. W mojej gminie Strzegowo komisarz nazywał się Sico. Mieszkał w Unierzyżu w gospodarstwie Polaka, który został wysiedlony i wywieziony do innej miejscowości. Ten człowiek zadbał dokładnie o każde gospodarstwo w gminie. Spisywał inwentarz i według spisu wyliczył ile produktów było trzeba oddać. Produkty to mleko, jaja, drób, świnie, runo owcze, zboże, ziemniaki itp. Kontyngentów musiał dopilnować i dostarczyć do punktów odbioru sołtys. Przy kontroli komisarza, powinności musiały zgadzać się z wcześniejszym spisem. I tutaj sołtysi odgrywali ogromną rolę w społeczeństwie wsi i gminy. Z sołtysami było tak jak z ludźmi. Jedni zastraszeni i płochliwi byli bardzo wierni Niemcom. Wielu było prawdziwych patriotów. Starali się robić z korzyścią dla Polaków. Ci urzędnicy najniższego szczebla w społeczeństwie mieli za zadanie pilnować i regulować ilość osób w danym gospodarstwie według jego wielkości i potrzeb. Nadmiar wysyłano na okopy, ewentualnie do prac obowiązkowych u gospodarzy niemieckich. Moja wieś miała sołtysa prawdziwego patriotę i bardzo dobrego człowieka. Starał się żeby nikogo nie skrzywdzić. Przeżywał bardzo, jeżeli musiał kogoś wysłać na przymusowe roboty do Niemiec czy na okopy. A czasem musiał. Moja mamusia wraz z innymi kobietami ze wsi wysłana była do sezonowych prac polowych tak jak pielienie, żniwa czy wykopki do Radzimowic w gminie Strzegowo, do majątku należącego kiedyś do pana Bagińskiego, który bestialsko został zamordowany przez żandarmów. Ojciec mój raz wysłany był na okopy do pobliskiego Działdowa. Mamusia bardzo się o niego martwiła, ponieważ nie cieszył się najlepszym zdrowiem. Po dwóch tygodniach udało się ojcu wrócić do domu.

W tym miejscu chcę zamieścić mój pierwszy w życiu napisany wierszyk, który przechował się w moim skromnym zbiorze.

*Proszę pani
Proszę pana
Dlaczego moja mamusia
Jest smutna od samego rana
Tatusia nie było w domu
Mamusia w nocy płakała
Tatę wysłano na okopy
Mamusia w domu czekała
Czekała i czekała
Bardzo się modliła
Tato wrócił zdrowy
Bozia go chroniła.*

Rolnicy, większych dobrze prosperujących gospodarstw byli wysiedleni, przewożeni i osiedlani w innych miejscowościach. Ich miejsce zajmowali Niemcy. Dopiero po wyzwoleniu wracali na swoje.

Mieszkańcom odbierano, co było wartościowe np. futra, kozuchy, biżuterię, srebra, porcelany, książki itp. Jeśli coś zostało u właściciela musiało być bardzo dobrze schowane. Nie mogło to ujrzeć światła dziennego inaczej groziła surowa kara. Mojej mamusi udało się uratować swoją pelisę z oposów z karakułowym kołnierzem i kilka książek.

Ludzie ginęli jak muchy bez przyczyny. Ksiądz, że był księdzem, lekarz, że był lekarzem, nauczyciel, że był nauczycielem a nawet po prostu, że był człowiekiem.

Pozwolę sobie wrócić do kontyngentów. Ludzie ryzykowali żeby sobie coś uszczyknąć i spożyć jakiś produkt, który potrzebny był do jakiegokolwiek egzystowania organizmu. Często przed niespodziewaną kontrolą, produkty łądowały w korytach świń. Każdy obywatel polski dostawał przydział tzw. becukrzaj (nie znam prawidłowej pisowni) na produkty np. na mąkę, cukier, tłuszcz, marmoladę itd. Produkty te były gorszej jakości. Marmolada dla Polaków była produkowana z dyni, marchwi i buraków cukrowych. Niemcy mieli produkty pełnowartościowe z samych owoców i cukru. Mamusia zaprzyjaźniła się z panią Bertą sprzedawczynią tegoż sklepu. Czasem zamieniała produkty. W marmoladzie znajdowały się czasem całe owoce. Jakie to było smaczne.

Rolnicy ratowali się jak mogli żeby przeżyć, ale i czasem pomóc innym. Moi rodzice siali rzepak i len. Z nasion rzepaku i lnu uzyskiwany był olej, który służył do kraszenia potraw, smażenia a nawet olej łączony z pokrojoną cebulą i solą, podawany był do chleba. Taką potrawę nakładało się do naczynia, moczyło się chleb i zjadało. Pamiętam, że czasem taką potrawę zjadałam z moim tatą. Z łądyg lnu po termicznej obróbce uzyskiwało się włókno. Na kółku (urządzenie służyło do uzyskiwania nici) mamusia przędła nici (do dziś na moim strychu przechowało się takie kółko). Moja ciotka miała warsztat tkacki, na którym z nici uzyskanych z włókna tkala płótno. Z cieńszego płótna szyta była bielizna pościelowa i bielizna osobista. Z grubszego prześcieradła, ściereki, ręczniki, a nawet obrusy. Zdobione były mereżką, haftem czy ozdobnym szwem. Jestem zbieraczem pamiątek. Zachowała się u mnie nocna koszula babci ręcznie szyta i serweta ozdobiona mereżką.

Domowym sposobem uzyskiwano mąkę. Zboże mielone było w młynku (taki młynek skonstruowany był gospodarczym sposobem). Poruszany był korbą. Praca była ciężka. Zatrudniana była cała rodzina, dlatego że praca była bardzo ciężka. Kilkakrotnie mielone zboże przesiewane było przez sita i końcowy produkt nazywał się mąką. Z tej mąki mamusia piekła chleb dla rodziny, a nawet czasem oddawała potrzebującym, np. chleb był wysyłany wujkowi, który był w obozie w Berlinie. Wysyłany był po powstaniu w Warszawie. Chleb pieczony był na zakwasie na dużych blachach. Z takiego dużego chleba, mamusia odkrawała z boku kawałek skóry. Ze środka wyjmowała trochę mięszu, a w puste miejsce wkładała kawałek posolonej słoniny i cebulę. Dlaczego cebulę? Podobno w tym czasie to warzywo było bardzo cenne jako lek. Skóra wracała na swoje miejsce. Chleb pakowany był w papier z odzysku (tak samo jak sznurek) i wysyłany do Berlina. Wujek przeżył. Wrócił do Polski, właśnie w domu moich rodziców spotkała się cała ich rodzina, tzn. ciocia, która z trójką najmłodszych dzieci po powstaniu zatrzymała się w Łyszkowicach koło Łowicza. Najstarszy ich syn po powstaniu przedostał się do Anglii. Pamiętam wtedy było bardzo ciepłe lato 1945 roku. W ten dzień cała rodzina Duczkowskich spotkała się w naszym domu. Wtedy zdecydowali o dalszych ich losach życiowych. Wujek wyjechał szukać jakiegoś dachu nad głową. Reszta rodziny zatrzymała się u nas. Było trochę ciasno, ale dało się wytrzymać. Wujek znalazł miejsce zamieszkania w Szczecinie. Ale już na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych cała rodzina Duczkowskich zamieszkała w Warszawie w swoim rodzinnym mieście. Trójka rodzeństwa jeszcze żyje i mieszka tam.

Opowiadał ktoś, kto był uczestnikiem „uczty” – „spektaku”, o urozmaicaniu sobie życia władz gminy w Ościsławie w powiecie ciechanowskim. Sołtysi „wołani” byli z całej gminy. Każdy z nich musiał zebrać razy od innych. Widzowie tj. komisarz i żandarmi mieli z tego wielką radość. To było bardzo bolesne i pamiętne spotkanie.

Jeżeli mowa o Ościsławie to tutaj 20 lutego 1940 roku stała się ogromna tragedia. Zginęło ponad 2 tysiące osób. Było rozporządzenie – przywieźć wszystkie osoby w podeszłym wieku, wszystkich chorych i kalekich dorosłych i dzieci na plac w Ościsławie. Tam rzekomo mieli być lekarze, którzy to mieli badać, stawiać diagnozy i aplikować potrzebne im leki. Jak się okazało tym jedynym lekiem na wszystko były kule. Obok miejscowości Ościsławo przy dzisiejszej drodze nr 60 łączącej Płock z Ciechanowem był i oczywiście jest do dziś duży las, który kryje wielką tragedię – mord na ponad dwóch tysiącach niewinnych ludzi. Zebranych wywieziono do tegoż lasu. Tam przygotowane było miejsce spoczynku w wykopanych ogromnych dołach. Wszyscy zostali straceni. Otrzymali lek, który wystarczył im już na całe życie wieczne – kule. Byli podobno świadkowie, którzy słyszeli głuche jęki już konających, przysypywanych ziemią ludzi. Ten los miała podzielić moja rodzina a konkretnie dzieci brata mojej babci. To była trójka rodzeństwa z Chotumia w powiecie ciechanowskim. Krzysztof 17 lat, Mieczysława 15 i Stefania 12 lat chorych na chorobę Heinego-Medina. Wujek wyczuwał tragedię i nie podporządkował się rozkazom oprawców. Dzieci wywiózł i oddał pod bezpieczną opiekę. Nawet ciocia nie знаła miejsca zamieszkania dzieci. Wujek bał się, że pod presją i naciskiem może ujawnić ich pobyt zamieszkania. Wujek na miejscu zawiadomił tych, którzy wydali rozporządzenie, że nie był w stanie dostarczyć chorujących. Myślał, że jeśli odda się sam – sprawa będzie załatwiona. Dostał razy i rozkaz – dostarczyć jutro. Ponieważ była to akcja jednodniowa, udało się przeżyć trójce później tak zacnych i szlacheckich ludzi, którzy wprawdzie poruszali się na wózkach to ile mogli pomagali innym. Ich miłością, dobrocią można było obdzielić wiele ludzi. Taka była rodzina Peplawskich. Po śmierci wujka trójka już dorosłych dzieci z mamą zamieszkała w Ciechanowie. Do dziś jeszcze mieszka tam pani Stefania, która z przysposobioną Krysią dzieli się swoim optymizmem.

Inna wielka tragedia równie prawdziwa, którą pamiętam z dzieciństwa z opowieści mojego ojca. Ojciec z nakazu sołtysa wysłany był na tzw. podwodę. Miał kogoś odwiedzić do sąsiedniej gminy Unieck w powiecie sierpeckim. Była niedziela. Tłum spędzonych ludzi. Jak okazało się żandarmi zabili młodego człowieka z Warszawy, który przyjechał do Łaszewa prawdopodobnie do rodziny. Może chciał zawieźć dla rodziny jakieś produkty żywnościowe? Zabity rzucony był pod dzwonnica na cmentarzu przykościelnym. Sołtys dostał rozkaz zbudowania czegoś podobnego do noszy. Dwie żerdzie połączone były poprzeczkami. Na to położono zwłoki młodzieńca i zaniesiona w asyście tłumu na cmentarz, gdzie czekał już wcześniej

wykopany grób. Z tej prowizorki wrzucono ciało do dołu tak jak cuchnącą padlinę. Nie został nawet grób, przy którym mogliby pomodlić się rodzice.

A teraz coś optymistycznego. Dzieci miały swoje życie, swój intymny świat, swoje radości i smutki, znały także tragedie. Pamiętam chwile, z których bardzo się cieszyłam. Czasem wieczorem, kiedy moja mamusia miała dobry nastrój, zastawiała czarnym papierem okna (dla bezpieczeństwa przed okiem wroga), wyjmowała ze schowka książkę. Raz jakąś czytankę z jednej klasy, drugi raz z innej. W tych czytankach były wiersze. Mała lampa naftowa, która oświetlała mieszkanie stawiana była na stole. Siadaliśmy z bratem i czytaliśmy (bardzo wcześnie opanowałam sztukę czytania i pisanie). Brat czytał jeden wiersz, ja drugi. Cieszyłam się jak trafił mi się długi wiersz. Bardzo lubiłam wiersze Marii Konopnickiej. Zachowały się strzępy książki Marii Konopnickiej. Bardzo, ale to bardzo lubiłam wiersz „Jaś nie doczekał”. Do wiersza „Chodziły tu Niemce” podchodziłam z wielką rozważą. Mój dziecięcy rozum analizował poszczególne wersy. Teraz myślę, że już wtedy ujawniał się u mnie patriotyzm. Już wtedy pokochałam tę ziemię i do dzisiaj mieszkam na wsi. Chcę przytoczyć fragment wiersza Marii Konopnickiej pt. „Chodziły tu Niemce”

*Chodziły tu Niemce,
Chodziły odmieńce:
„Sprzedaj, chłopie, rolę,
Będziesz miał czerwienice!
Zapłacimy chatę,
Zapłacimy pole...
Będziesz miał talarów
Na caluśkim stole!”
– A mój Niemcze miły,
Idźże, kędy raczysz!
Ale mojej roli
Równo nie obaczysz!*

Wtedy nie było zabawek. Dzieci zbierały się i grały w berka, w ślepą babę, w pierścionek, w klasy, w chłopa. Dzisiejsze dzieci i młodzież nie potrafiłyby się tak bawić, a że tak było – nie wierzą.

Polacy radzili sobie w różnych sytuacjach. Leczyli się, przy ranach stosowali okłady z liści babkowych, czy olszyny, na żołądek – korę z drzewa sakłaku. Jak bolał brzusek mamusia przynosiła gałązkę drzewa sakłakowego, zdejmowała korę, zaparzała ją i to było lekiem. Na przeziębienie była kąpiel w naparze z igieł sosnowych. Pamiętam byłam przeziębiona. Stosowano różne sposoby leczenia. Nie było poprawy. Mamusia postanowiła wykąpać mnie w naparze z igieł sosny, które zalane były wrzątkiem. Napar uzupełniony był wodą do właściwej temperatury, wlany do beczki o takich rozmiarach, żebym na kuckach mogła się zmieścić (nie było jeszcze wanien). Właściwie to można było nazwać raczej zabiegiem leczniczym niż kąpielą. Zanurzona byłam do brody. Musiałam się wypocić w tym naparze. Trwało to dość długo. Po kąpeli byłam położona do wygrzanego łóżka. Podobno to był sprawdzony zabieg. Pomógł. Przeziębienie minęło. Wtedy nie było leków. Nie było antybiotyków, syropów czy maści. Dobrze, że ludzie byli pomysłowi. Stosowali, co natura urodziła i to, na co rozum wskazywał. Do dziś pozostało wiele porad, które były wypróbowane i z konieczności stosowane. Spotkałam kiedyś w księgarni książkę pt. „O czym wiedziały nasze babcie”. Niżej napisane było na okładce „Skuteczne i sprawdzone domowe sposoby na wszelkie dolegliwości zdrowotne”. Na szczęście eksperymentowanie pieca i trzech zdrowasiek jest legendą.

Do tego miejsca opisałam kilka faktów, przeżyć i tragedii z mojego dzieciństwa, czyli czasu okupacji. One były bardzo prawdziwe, ale ja ich nie przeżyłam osobiście tak jak mord w Ościsłowie czy w Uniecku. Chcę opisać kilka faktów, które ja jako dziecko przeżyłam albo byłam ich naocznym świadkiem.

Minęło już trzy czwarte wieku od wybuchu drugiej wojny światowej i niemieckiej okupacji. Tragedie ludzkie tak bardzo wryły się w delikatną psychikę dziecięcą i stoją przed oczami wiekowej, bo dziś osiemdziesięciodziesięcioletniej kobiety. Tą kobietą jestem ja. Nazywam się Jasińska-Śliwińska Mirosława. Moje nazwisko rodowe to Bojanowska i o tejsze rodzinie chcę napisać. Miejscowość rodzinna, z której pochodzę to Mączewo (mała wioska licząca na owe czasy siedemnaście numerów i około siedemdziesiąt mieszkańców) w gminie Strzegowo, powiat Mława, województwo Warszawskie. Akurat w tym miejscu stykały się granice trzech powiatów: mławski, sierpecki i ciechanowski.

Moja rodzina to: Apolonia Bojanowska – moja babcia, Zygmunt i Irena – rodzice, Jan Stanisław – brat, ja Mirosława i później urodzony, bo w 1942 roku brat Jerzy. Moje miejsce urodzenia i zamieszkania to drewniany czteroizbowy dom z zabudowaniami gospodarczymi leżący przy drodze łączącej dwie gminy Strzegowo powiat mławski i Unieck w powiecie sierpeckim.

Z upływem czasu coraz bardziej uświadamiam sobie jak wielkimi patriotami byli moi rodzice i jak bardzo oddani byli wielkiej sprawie narażając siebie i rodzinę na niebezpieczeństwo.

Rodzice ukrywali wiele osób. Kryjówki były tak zamaskowane, że nawet żandarmi nie mogli ich dostrzec. Między ukrywającymi się mieszkał w naszym domu, ale już zupełnie legalnie pan Zygmunt Miączyński – sędzia, jeśli dobrze pamiętam pochodził z Nasielska. Legalnie, bo miał wyrobiony dowód tożsamości i legalny pobyt zamieszkania – dokument potrzebny do egzystencji w tym środowisku.

Pan Zygmunt w naszym domu prowadził tajne nauczanie miejscowych dzieci. Po wyzwoleniu dzieci trafiły do klas zgodnie z ich wiekiem. W razie wizyty żandarmów pan Zygmunt stawał się pracownikiem rolnym. Krewny pana Zygmunta pan Tafczyński był sekretarzem miejscowej gminy Strzegowo, która mieściła się w szkole. Pan Tafczyński wyrabiał dokumenty potrzebne dla ukrywających się.

Pewnego razu zaistniała potrzeba kontaktu z panem sekretarzem. Moja mamusia udała się do gminy do pokoju na piętrze gdzie do tej pory urzędował. Co zastała – miejsce kaźni. Cała sala zbrzydzona była krwią. Leżało jeszcze drgające ciało, a przy nim sękaty kije – narzędzie zbrodni. Na szczęście mamy zbrodniarzy wyszli. Mamusia zbiegła na parter gdzie spotkała pana Tafczyńskiego. Właśnie tu przeniesiono jego biuro. Gdyby wtedy zobaczyli moja mamę to podzieliłaby los pana Bagińskiego – zamordowanego dziedzica ziemskiego z Radzimowic gmina Strzegowo. Zamordowany wrzucony był jak zwierzę do dołu wykopanego na cmentarzu żydowskim w okolicy Strzegowa. Po wyzwoleniu przeniesiono zwłoki do rodzinnego grobu. Świadcami tejże ekshumacji była grupa dzieci idących do szkoły. W tej grupie znajdowałam się również ja jako dziesięcioletnia dziewczynka. Pracujący nakazali nam szybko biec do szkoły. Ja widziałam tego człowieka leżącego w dole, wyraźnie było widać zielone ubranie i długie buty.

Po tym morderstwie moja mamusia była bardzo rozdrażniona, nerwowa, smutna. Myślałam, że jest chora. Obserwowałam moich rodziców i ich zachowanie. Mój dziecięcy rozum nie mógł tego ogarnąć. W rozwiązywaniu zagadek pomagał mi mój brat Janek. Ale to też miało swoją cenę. Musiałam przysiąc na wszystko, co było mi najdroższe, najukochańsze i najcenniejsze w życiu, że nie pisnę ani słówka, co od niego usłyszałam i dotrymałam przysięgi.

Dość często odwiedzało nasz dom trzech młodych mężczyzn z sąsiedniej gminy Unieck. Tak się złożyło, że było trzech Józefów – Mączewski i Falkowski z Kocięcina i Sadłowski z Uniecka. Mamusia wtedy wychodziła z domu, a kiedy wracała – dorośli zamykali się w pomieszczeniu. Janek wyszedł, po co nasza rodzicielka wychodziła. Otóż gdzieś w schowku na polu zabezpieczone przed wilgocią a szczególnie przed niepożądanym okiem ukryte było radio. Przynosiła je i przez okno wstawiała do pokoju. Po wysłuchaniu wiadomości odnoszone było na miejsce. Nie umiem dziś określić ile czasu to trwało. Wiem tylko, że po jakimś czasie panowie przestali przychodzić. Zostali aresztowani i już nie wrócili. Zginęli. Moim rodzicom udało się zostać przy życiu.

Pewnego letniego przedpołudnia do gospodarstwa oddalonego od mojego domu kilkaset metrów zawitali goście – dwóch żandarmów. Jeden dobry nazywano go „bez duszy”, a drugi zły, bezwzględny nazywał się Kępka. To było jego prawdziwe nazwisko. Zrobili rewizję. W kieszeni brata gospodarza znaleziono kawałek słoniny. Kowalski został zakuty w kajdanki i zostawiony pod opieką tego dobrego żandarma. Nie wiadomo czy żandarm kazał mu uciekać czy sam próbował się ratować. Kiedy Kowalski był blisko lasku pilnujący oddał strzał – oczywiście niecelny. Kępka wybiegł oddał kilka strzałów do uciekającego. Gdy ten upadł dobiegł i do leżącego oddał dwa strzały. Ja to widziałam na własne oczy. Później żandarmi spędzili wszystkich mieszkańców, a sołtysowi kazano zawieźć zabitego do środka wsi gdzie były zgromadzone całe rodziny włącznie z małą dziećmi. Padł na wszystkich błąd strach. Zakończyło się groźbą, że „każdego spotka to samo, co Kowalskiego jeśli dopuści się podobnego przestępstwa”.

Kilka tygodni później żandarmi zaczęli częściej bywać w obejściach rolników. Penetrowali każde podwórko i ogródek. W ogrodzie państwa Mączewskich znaleziono ślad po przekopanej ziemi. Spędzili mężczyzn, którzy musieli dokładnie przekopać ziemię. Znaleźli jelita świni. Wtedy aresztowano dwóch synów pani Mączewskiej – Leona 26 lat i Stefana 22 lata. Dwa tygodnie później odesłano rodzinie ubrania. Zginęło dwóch młodych ludzi za jedną świnię. Prawie każdego dnia żandarmi przyjeżdżali do Mączewa. Spisana była ilość inwentarza. Sprawdzali czy nie ubyto jakiejś świni, czy cielaka, czy też dzieżki mleka, czy szklanki śmietany.

Każdy rolnik miał prawo raz w roku otrzymać zezwolenie na ubój czyli tzw. świniobicie. Gospodynie mięso posolone przechowywały w pojemnikach typu beczki czy koryta. Żandarmi od czasu do czasu wpadali wyrzucali zawartość pojemników i jak mawiali szukali piątej nóżki czy drugiego ogonka.

Często przejeżdżali przez wieś bryką zaprzęzoną w dwa konie. Pewnego dnia upolowali uciekającego młodego człowieka. To był syn właściciela majątku ziemskiego ze Szczepkowa z gminy Unieck – Ryszard Zbyszyński. Ryśka przywiązano do konia łańcuchem za szyję. Otrzymywał razy batem. Musiał biec z szybkością koni. Aresztowano go i osadzono w więzieniu w Dziadowie. Był młody i silny. Przeżył.

Moi rodzice wielokrotnie musieli być świadkami ludzkiej tragedii w Strzegowie. Tam spędzano tłum ludzi, który musieli patrzeć na wieszanych Żydów na szubienicy.

Za okupacji było takie rozporządzenie, że bez przepustki nie można było przekroczyć granicy gminy. Mojego ojca zbito do nieprzytomności za to, że przekroczył granicę gminy biegnąc za świnią, która przstraszyła się przejeżdżającego pojazdu i biegła przed siebie. Akurat ta nieszczęsna granica była

kilkaset metrów od naszych zabudowań. Nie było tłumaczenia. To było przestępstwo, za które srogo karano. Żandarmi obrali dom moich rodziców za punkt obserwacyjny. Przychodzili do domu, siadali przy oknie i obserwowali drogę. Akurat kilkaset metrów stykały się granice trzech gmin z trzech powiatów: Mława, Sierpc i Ciechanów. Ludzie mieli różne potrzeby. Ryzykowali. Szli często bez przepustek. Mój brat Janek wtedy już dwunastoletni później trzynastoletni chłopiec, wychodził za budynki gospodarcze i z ukrycia obserwował i jeżeli zaszła potrzeba informował nadchodzących ludzi o niebezpieczeństwie, jakie im groziło. W taki sposób uratował wiele osób od kar, jakie na nich czyhały.

Moi rodzice ukrywali wiele osób, część z nich przeżyła okupację. W obecnej chwili moi bliscy: babcia, rodzice i bracia już nie żyją. Pozostałam już sama, ale ze strasznymi wspomnieniami tragedii ludzkiej, które tak głęboko ukorzeniły się w delikatnej psychice dziecka, że nie sposób nawet siłą je wyrwać.